

wiadczenie potoczne jest dla filozofa doświadczeniem fundamentalnym, niemniej jednak niektóre osiągnięcia nauk doświadczalnych mogą mieć wpływ na modyfikację twierdzeń filozoficznych. Tylko śledzenie dorobku tych nauk może ustrzec filozofię przed zastojem i skostnieniem. Kosmolog uwzględniając dane doświadczenia naukowego, musi mieć jednak na uwadze to, że fakt naukowy nigdy nie występuje w stanie czystym. Elementy empiryczne zazębiają się w nim z elementami teoretycznymi. Fakt naukowy trzeba więc „oczyścić” z założeń teorii, w ramach której został zinterpretowany. Dopiero wtedy, gdy dotrze się do samych elementów empirycznych, ujawnionych przy pomocy terminów spostrzeżeniowych, otrzymamy materiał stanowiący dla filozofii punkt wyjścia, który należy z kolei wyjaśnić, czyli powtórnie uteoretyzować, w świetle zasad filozoficznych. Tak rozumiana interpretacja kosmologiczna faktów doświadczenia naukowego dokonywana jest przy pomocy zespołu pojęć kosmologicznych i metafizycznych, bez korzystania z przyrodniczych zdań wyjaśniających. Nie zachodzi więc obawa pomieszania języka filozoficznego z naukowym.

Praca ks. Mazierskiego nie tylko wprowadza w aktualną problematykę epistemologiczno-metodologiczną współczesnej filozofii przyrody w ujęciu arystotelesowsko-tomistycznym, ale także stanowi na naszym terenie pewnego rodzaju platformę dla dalszych poszukiwań, zmierzających do pełnego wyodrębnienia filozofii przyrody od metafizyki. Posłuży też zapewne, zgodnie zresztą z intencją autora, jako pomoc studiującym w wyższych zakładach teologiczno-filozoficznych.

Tadeusz Pietrzyk

POLSKI PROBLEM Nr 1, Warszawa 1972, PIW s. 269

Tania ta książka, kosztująca 20.— zł, wydana na dobrym papierze, zawiera bardzo ciekawe rozprawy w liczbie 13. Trudno powiedzieć, któremu z artykułów stanowiących treść książki przypisać pierwszeństwo?¹

Czytelnik nie obeznany z problematyką gospodarczo-społeczną, rozpoczynając lekturę tej książki, napotyka na pewne trudności. Jedną z pierwszych będzie tkwiła w braku pogłębionej znajomości omawianych zagadnień; nasuną też także terminologia i styl publicystyki o sprawach gospodarczych, społecznych itp. Pokonawszy jednak tę przeszkodę, przekonywujemy się, że warto kontynuować lekturę książki, która stała się ostatnio jednym z bestsellerów, wyrażającym kierunek „obywatelskiego myślenia kilkunastu ludzi, cieszących się imieniem wziętych publicystów” (s. 6). Traktuje ona przecież o tematyce, która obchodzi każdego Polaka, świeckiego i duchownego. Mówi o sprawach namiętnie dyskutowanych w całej Polsce po grudniu 1970 r., we wszystkich dzien-

¹ Zbigniew Lewandowicz — Wykorzystać szanse. Krzysztof Teodor Teoplitiz — Szansa na polskie słowo. Ryszard Manteuffel — Rolnictwo — zawód jak każdy inny. Aleksander Bocheński — Rzeczpospolita księgowych. Zygmunt Szeliga — Oświecenie społeczeństwa. Władysław Lorańc — Strumień nauki i rzeka życia. Wiesław Górecki — Aby w Polsce było lepiej. Andrzej Micewski — Perswazje czy warunki. Mieczysław Franciszek Rakowski — Podnieść sufit! Ryszard Wojna — Państwo rzeczą wspólną. Zbigniew Załuski — Trzeci problem. Edmund Osmańczyk — Warszawa. Marian Marek Drozdowski — Kultura historyczna a współczesne troski obywatelskie.

nikach i tygodnikach. Nie ma tu jednak nudnego powtarzania tego, co inni już powiedzieli. Jak w każdej publicystyce, niemało jest powtórzeń; ale jeśli one zdarzają się w omawianej książce, to zwykle łączy się z nimi nowy punkt widzenia i tematyczne pogłębienie.

Charakteryzując ogólnie wszystkie rozprawy razem wzięte, powiemy, że jest to studium publicystyczne, nie naukowe, ale też nie dziennikarskie, z pogranicza ekonomii, socjologii, współczesnej historii itp. Całość jest solidnym wysiłkiem nawiązującym do chlubnej tradycji polskiej publicystyki, w którym wyładowują się takie czynniki jak obserwacja osobista, przeżycia, doświadczenia własne i innych, ale też obiektywna nauka i studium, współcześnie uprawiane i przed laty. Mało w nich abstrakcji, wiele za to konkretnej rzeczywistości, zwłaszcza tej najbardziej współczesnej. Dlatego praca jest ciekawa, pulsująca życiem. Każdy czytelnik łatwo wyniesie z przeczytanych artykułów przekonanie, że autorom naprawdę chodzi o dobro Polski.

Założeniem podstawowym, raz po raz wyrażnie lub też mniej dobitnie wypowiedzianym jest: „naród nasz ostatecznie związał swój los... z socjalizmem” (Mieczysław F. Rakowski, s. 201). Socjalizmu autorzy nie traktują jednak ze stanowiska dogmatycznego, które nie dopuszcza do zmian, wyrastających m.in. z krytyki tego, co dotychczas zrobiono. Raz po raz padają słowa uznania dla tego, co zostało zrobione w minionym 27-leciu, ale nie są one nigdy nic nie mówiącymi, napuszonymi pochlebstwami. Owszem wypada podkreślić, że w całej książce przeważa obiektywna krytyka, odważna i daleko posunięta, czasem nawet brutalnie i sarkastycznie wypowiedziana.

Katolicki czytelnik pyta: czy wzięto też pod rozwagę postulaty katolickiej nauki społecznej? Wiele stwierdzeń, głoszonych w różnych partiach książki, jest zgodnych z katolicką nauką społeczną, wysuwającą wspólne dobro wszystkich członków narodu, państwa i całej ludzkości. Autorzy zawężają problem, gdyż chodzi im głównie o dobro wspólne obywateli polskich. Tym oczywiście objęci są także katolicy, stanowiący przygniatającą większość Polaków. Ich dobro wysuwa specjalnie Andrzej Micewski, pisząc pod koniec rozprawy: „Problem katolicki i możliwości integracji społecznej wierzących i niewierzących zależą w decydującej mierze od dwóch rzeczy: 1° od normalizacji stosunków między Kościołem a państwem w sensie wyeliminowania wszystkich sprzeczności wtórnych, nie związanych z istotą różnic światopoglądowych, 2° od współdziałania Kościoła z państwem w dziedzinie tzw. punktów stykowych w polityce socjalnej, wychowawczej i gospodarczej” (s. 181). Micewski wysuwa następnie bardzo ważną szczegółową inicjatywę pisząc: „Ogólnym czynnikiem przełomowym dla atmosfery psychologicznej będzie naoczne ukazywanie równości sytuacji wierzących i niewierzących, pod warunkiem ich jednakowego zaangażowania zawodowego i społecznego. Ważne byłoby tu stworzenie faktów przykładowych...” (s. 182).

Dla Micewskiego i dla nas katolików jest to problem ważny, ale dla innych autorów stanowi to sprawę marginalną. Interesują się oni głównie innym problemem, który Osmańczyk sformułował mówiąc o Warszawie, jako metropolii „ambitnego narodu dobrej roboty” (s. 250), następnie Szeliga głosząc: „wydajność pracy — klucz do teraźniejszości i zwłaszcza — przyszłości” (s. 99), a Bocheński rozpoczynając swoje wywody: „Skądkolwiek spojrzeć, nad którąkolwiek wielką troską współczesnych Polaków zatrzymać się bodaj na chwilę — zawsze problemem najważniejszym, najpilniejszym do rozwiązania okaże się niska wydajność pracy” (s. 67). Cytatów podobnych moglibyśmy przytoczyć średniej, podczas gdy we wszystkich innych krajach stanowi ona co najmniej

znacznie więcej. Odślaniałyby one wielką prawdę, którą od lat, a zwłaszcza od grudnia 1970 r. wysuwamy w Polsce. Autorzy omawianych rozpraw chcieliby pomóc, aby wzmożła się pracowitość i wydajność pracy w Polsce, abyśmy wreszcie na tym odcinku przestali wlec się za innymi państwami obozu socjalistycznego i kapitalistycznego. Uświadamiają sobie bowiem, „że wydajność pracy to w ostatecznym rachunku rzecz najważniejsza, najistotniejsza dla zwycięstwa nowego ustroju społecznego”, jak to powtarzamy za Władysławem Lorancem (s. 136).

Rozwiązanie tego problemu jest trudne, bo liczne mamy w życiu gospodarczym i społecznym zapóźnienia, związane z naszą przeszłością.— znany przecież jest fakt, że do XVIII wieku i później chłop pańszczyźniany źle pracował, bo chwycił się ulubionej metody zniewolonych — oraz zaniebdania, wyrastające z terażniejszości (s. 254). Trzeba je jednak przewyciężyć. Co do tego wszyscy są zgodni. Gdy jednak szczegółowo rozważają konkretne możliwości spotęgowania wydajności pracy, to ich poglądy rozchodzą się nie w tym sensie, że jedni drugim się przeciwstawiają, ale raczej, że jedni drugich uzupełniają.

Trudno w krótkiej recenzji przedstawić syntezę poglądów omawianych publicystów. Zajmą się tym prawdopodobnie specjaliści naukowci, którzy czy to w ekonomii, czy socjologii będą mogli skorzystać z omawianych rozpraw. Może wynikać z tego pewien postęp poszczególnych dyscyplin naukowych. Ale wolno nam zaznaczyć, że w linii, nakreślonej przez naszych pisarzy, zauważa się podwójną tendencję: tę, która pośrednio może przyczyniać się do wzmocnienia wydajności pracy i tę, która bezpośrednio pragnie wpływać na lepsze rezultaty pracy, nie wykluczając oczywiście rolnictwa, które wykazuje wyraźne ożywienie wydajności a to dzięki reformom, jakie weszły w życie po grudniu 1970 roku. Szkoda, że nie wypunktowano tego mocniej w książce. Może stało się tak dlatego, że gdy autorzy oddawali manuskrypt do druku, nie było to jeszcze tak oczywiste jak dziś.

Wśród tendencji, które w sposób pośredni mają stymulować wydajność pracy autorzy wysuwają przede wszystkim reformę nauki i oświaty. Są przy tym radykalni głosząc, jak Szeliga, potrzebę „nowej rewolucji oświatowej”, sprowadzającej się do całkowitego upowszechnienia drugiego szczebla edukacji (szkoły średnie, zwłaszcza ogólnokształcące) oraz maksymalnego otwarcia dostępu do trzeciego szczebla nauki (uniwersytetu i szkół wyższych wszelkiego rodzaju) (s. 106 i nast.). Jego zdaniem „stawka jest o całą naszą przyszłość, o wszystkie bez wyjątku dziedziny aktywności społecznej i gospodarczej... Dlatego oświecenie społeczeństwa jest naszym problemem nr 1” (s. 125). Nawet gdybyśmy nie zgodzili się na tak radykalne wysunięcie oświaty i nauki, jak to czyni Szeliga, to za Lorancem musielibyśmy przyznać, że „wszyscy są zgodni co do istnienia ścisłej współzależności między rozwojem nauki i ogólnym poziomem wykształcenia społeczeństwa i rozwojem gospodarczym i społecznym” (s. 124).

Krytykując to, co zrobiono, Szeliga jest zdania: „dotychczasowy stan rzeczy zawiera się w hasło: rozwijać oświatę po to, żeby móc produkować, ja zaś proponuję hasło: formować społeczeństwo oświecone, które będzie osiągać wybitne rezultaty produkcyjne” (s. 114). Szeliga jest więc za porzuceniem wąskiego utylitaryzmu w organizacji oświaty i nauki. Nad tym można podyskutować! Pojawiają się wtedy różne zdania, między innymi te, które będą chciały bezpośrednio przyspieszać wydajność pracy przez rozwój nauki. Hołduje tej opinii także Loranc twierdząc, że „przyspieszenie wzrostu produkcji zależy bezpośrednio od wzrostu nakładów na badania naukowe” (s. 126).

Przejdźmy teraz do bardziej szczegółowego omówienia propozycji ekonomiczno-społecznych, mogących bezpośrednio wpływać na większą wydajność pracy. Trudno wymienić wszystkie. Skromne wymiary tej recenzji zmuszają mnie do przedstawienia tylko niektórych, może specjalnie doniosłych. Jedną z najważniejszych upatruję w częstym, prawie że stałymłączeniu i zespalanu pracy i płacy. Tego było dotychczas w Polsce za mało. Myślało i mówiło się o wielu innych bodźcach, potęgujących wydajność pracy, a stosunkowo rzadko podkreślało się współzależność dobrej jakości pracy i odpowiednio wysokiej płacy. Jeden z najodważniejszych autorów, Zbigniew Załuski pisze: „uważam, że wszczęcie społeczeństwu tego jednego najprostszego ideału „jaka praca — taka płaca”, będzie rewolucją w światopoglądzie Polaków. Taką rewolucję jeszcze w bieżącym roku postuluję” (s. 239). Oburącz podpisuję ten postulat, który jest jednym z bardzo zasadniczych żądań katolickiej nauki społecznej i ogólnie przyjętym postulatem ekonomii. Autor oczywiście o tym nie mówi, ale na innym miejscu głosi: „równy start — równe obowiązki — równe możliwości, ale zróżnicowane wyniki w myśl zasady socjalizmu: od każdego według możliwości, każdemu według pracy” (s. 236—237). Znaczy to iż zasada „jaka praca — taka płaca” wyrasta także z socjalizmu. Szkoda wielka, że przez wiele lat o tym zapomniano, przyczyniając się przez to, przynajmniej pośrednio, do małej wydajności pracy. Powstała stąd wprawdzie dążność do utrzymania społecznego egalitaryzmu, faworyzowanego przez ustrój socjalistyczny, w jego fazie zmagania się z kapitalizmem, którego klasycznym wyrazem są trusty i monopole różnego rodzaju ułatwiające skupienie w rękach niewielu jednostek przeogromnych bogactw materialnych. To niebezpieczne, a w pewnej mierze niemoralne, ale warto dodać, że okazało się, iż społeczny egalitaryzm „stał się ideologią służebną tych, którym się nie chce, tych wygodniejszych, mniej dynamicznych, mniej ambitnych, a za to zawistnych” (s. 238). Tym dynamiczniejszym i ambitniejszym pracownikom, w dobrym tego słowa znaczeniu trzeba udzielać wyższej płacy niż ich towarzyszom, których praca jest mniej wydajna i społecznie mniej użyteczna. Mogłoby temu służyć np. kilkakrotne powiększenie rozpiętości płac w Polsce (s. 235), aby ustało wreszcie to, co autor przedstawia w następujących słowach: „start zawodowy samotnego młodego człowieka — 1500—2,000 zł miesięcznie — na siebie samego, a często jeszcze pomogą rodzice. A obok taki sam, tylko 20 lat starszy... ile zarabia? Góra 2 razy więcej 3,000 do 4,000... ten zarobek nie jest tylko jego, to już i dwoje — troje dzieci, i żona w domu... i stary dziadek czy babka... te pozorne „dwa razy więcej” oznacza praktycznie dwa razy mniej na osobę. Dwa razy mniej niż w momencie życiowego startu” (s. 228). I to rzetelna prawda, nad którą warto się zastanowić, ale pamiętajmy, że wtedy zagrożone zostanie faworyzowanie młodych.

Autor postuluje jeszcze oderwanie obowiązków opieki społecznej od zakładów produkcyjnych. Mówi on: „Jest rzeczą słuszną, że nikt w Polsce nie może umrzeć z głodu, jednakże obecny system „ratowania tonących”, to przerzucenie obowiązków opiekuńczych na zakład produkcyjny, pomieszczenie zapomogi z zarobkiem, jest głęboko dezorientujące, zaciera całkowicie różnicę między dobrą a złą pracą i jest głęboko niemoralne” (s. 232). Rzeczywiście czym innym jest zarobek. Nie powinno się np. dopuścić do tego, że „robotnicy tej samej brygady muszą w istocie rzeczy z własnej kieszeni dopłacać bumelantowi 500—600 zł” (s. 232). Ten casus jest łatwy do rozwiązania, przez zaostrzenie przepisów antybumelanckich, które w równej mierze będą odnosiły się do pro-

stego robotnika, jak i średniego aparatu urzędniczego i wyższych instancji, kierujących i nadzorujących życie gospodarcze danego przedsiębiorstwa.

Autorzy rozpraw operują często cyframi, mającymi wykazać brak należytej dynamiki w życiu gospodarczym Polski, i to od szeregu lat. To zrozumiałe, ale łatwiej uchwytne staje się to, gdy twierdzą, że w Polsce średni pracownik może się tak urządzić, że po pewnym czasie pracy będzie posiadał własny aparat radiowy i telewizyjny, odkurzacz i lodówkę, nie może jednak jako człowiek pracy marzyć o własnym samochodzie, a tym mniej o własnym domku. Postęp gospodarczo-społeczny ogółu ludzi pracy jest więc możliwy, ale tylko do pewnej granicy. Osiągnąwszy ją, ludzie pracy będą zmagali się o „zachowanie obecnego standartu na bieżąco, nie zaś o rozwijanie go i wznoszenie na wyższy poziom”, jak głosi Krzysztof Teodor Toeplitz (s. 39). To wielka szkoda! Zaznacza się ona jako krzywda ludzi wartościowych, dynamicznych, utalentowanych i pełnych inicjatywy, których wysuwa także Mieczysław F. Rakowski (s. 198).

Nie mogę obronić się przed wrażeniem, że na tym miejscu autorzy mają nie-raz siebie samych na myśli, bronią własnego interesu. Ale i to dozwolone, przynajmniej w pewnych granicach, które zachowuje Marian Marek Drozdowski pisząc: „Funkcjonujący system płac oraz stawki autorskie dają pierwszeństwo płyciutkiej popularyzacji przed czasochłonną, nowatorską monografią czy zbiorową syntezą naukową” (s. 261). To prawda, którą można i trzeba będzie uwzględnić przy reformie płac. Powinny one wyjść na korzyść ludzi lepiej pracujących. Zasada sama w sobie jest słuszna, ale nie zawsze łatwo będzie ją w praktyce stosować. Weźmy przykład, cytowany przez Wiesława Górnickiego: „Jeśli źle pracujący robotnik będzie otrzymywał tylko ustawową płacę minimalną, a jego trzykrotnie lepiej pracujący kolega przy tej samej maszynie — płacę trzykrotnie wyższą, pojęcie bodźców materialnych zacznie nabierać sensu” (s. 158). Ale każdy zapyta: jak to stwierdzić i obliczyć?

Pojęcie bodźców materialnych powinno działać bez naruszenia sprawiedliwości społecznej głównie w stosunku do tych ludzi, którzy pracują lepiej i ciężiej niż inni. Niestety „dla takich ludzi udało nam się stworzyć najskuteczniejszy i działający od lat niezawodnie system antybodźców” (s. 156). Powinny one zniknąć, aby ustał „klimat mściwej wrogości wobec ludzi szczególnie dynamicznych i pracowitych, wyraźnie zdolniejszych i bardziej zdyscyplinowanych wewnątrz niż inni, poświęcających na pracę noce i niedziele” (s. 155). Nie wiem, czy Wiesław Górnicki dobrze zacytował przykład o ministrze, którego dochód „ma u nas koniecznie obracać się w granicach pięciokrotnej płacy średniej, podczas gdy we wszystkich innych krajach stanowi ona co najmniej równowartość trzydziestu takich płac, a bywa, że i stu”. O wiele ważniejsze jest zdanie tegoż autora: „Chciałbym być należycie zrozumiany. Nie mówię tu w żadnym razie o niczym nie usprawiedliwionych zyskach, jakie osiągają czasami sprytni i pozbawieni skrupułów kombinatorzy działający na peryferiach inicjatywy prywatnej, jakkolwiek niepokoją mnie skutki hurtowej polityki fiskalnej wobec rzemiosła i wszelkich form inicjatywy prywatnej” (s. 155).

Trzeba by omówić jeszcze inne propozycje przytaczane przez autorów. Dla przykładu wymieniam dwójistnienie, które może prowadzić do dwójmyślenia. Ilustruje to następujący opis: „Pracuje się na chleb w warsztacie, ale na masło — poza warsztatem, awans kraju wyrabia się w zakładzie pracy, ale awans własny — o, to już trzeba pokombinować (s. 221). Załuski ma rację twierdząc: „Istota rzeczy polega nie na nadmiernym rozwoju drugiego „pozasłużbowego” układu naszego życia, ale na katastrofalnym niedorozwoju pierwszego zasadni-

czego układu naszej socjalistycznej pracy" (s. 223—224). I ten problem warto przemyśleć zabiegając o lepszą i doskonalszą organizację pracy, o usprawnienie nadzoru pracy, którym objęte będą najpierw wyższe a potem średnie, a na końcu dopiero niższe szczeble pracy. Te i inne rozwiązania natury technicznej są potrzebne, aby uniknąć jednostronności, wyrastającej z wyłącznego stosowania wyżej wymienionego hasła: „Jaka praca — taka płaca”.

Cały problem zostałby na pewno pogłębiony, gdyby mocniej podkreślano, że dobrze wykonywana praca jest życiową potrzebą i koniecznością człowieka moralnie zdrowego. Daje mu największe zadowolenie wewnętrzne, rozwija jego osobowość. On fizycznie i duchowo dojrzewa dzięki spełnianiu codziennego obowiązku pracy. Cały jego postęp psychofizyczny jest w tym zaangażowany. Odczuwa to, gdy od lat dziecięcych, a potem także w okresie dojrzewania i dojrzałości jest wychowywany w tym kierunku i urabiany. Starszy człowiek powiedział mi niedawno: „Ja to mam we krwi, że muszę dobrze pracować! Ale czy młodzi też tak myślą?”

Wszyscy pragną, i to z całych sił, aby z pracy mogli czerpać utrzymanie dla siebie i swojej rodziny. Życie ich do tego zmusza, ale rozumne człowieczeństwo woła także o to, by swój rozwój, osobisty i społeczny, zespalać coraz więcej z pracą codzienną, rzetelnie wykonywaną. Jeśli sama tego dać nie może — jak to np. bywa w zakładach zautomatyzowanych — to trzeba łączyć ją ze sportem, turystyką i wczasami, a również nie na ostatnim miejscu z dobrze uregulowanym życiem religijnym i moralnym.

H. B.